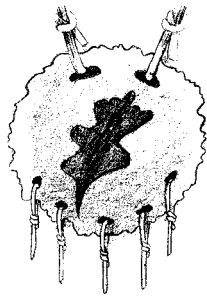


JAROSŁAW ŚMIECHOWICZ

# WOJBOR

PRZYGODY  
WOJOWNIKA



Wolbórz 2014

**Rysunki:** Jarosław Śmiechowicz

**Korekta:** Maria Pstrokoń

© Jarosław Śmiechowicz, tel. 505-348-022

**ISBN** 978-83-926144-2-5

**DTP:** Agencja Wydawnicza „Edytor”, tel. 44-647-10-20

## Prolog

**P**ierwsza pisemna wzmianka o Wolborzu pochodzi z 1065 roku. Od tamtego czasu, o kolejnych przemijających wiekach wiemy więcej lub mniej. Kolejni w okresie dziejów kronikarze opisywali losy tego miasta. Zapisana historia daje nam obraz życia ludzi i historii tego regionu. Ale co było przedtem?

Moja historia Woja z boru zaczyna się zupełnie gdzie indziej. W drewnianym grodzie położonym na bagnistych wówczas terenach rzeki Moszczanki.



Znajduje się tam pozostałość po pradawnym, drewniano-gliniastym grodzie w kształcie koła, otoczonym rzeką. Aby zrozumieć klimat tamtych czasów, trzeba spróbować przenieść się do tamtego okresu. Co prawda jedynie oczyma wyobraźni, ale przy odpowiednim podejściu i zaangażowaniu możemy przenieść się tam pokonując barierę tysiąclecia.

Będąc w opisywanym przeze mnie miejscu, ujrzymy, co prawda niewielki, o średnicy kilkudziesięciu metrów, wał ochronny usypany z torfu i gliny ludzką ręką. Jednak wchodząc do wnętrza tego pierścienia, możemy poczuć klimat tego miejsca, zapach ziemi, różnorodność gatunków drobnych roślin porastających je od tamtych czasów. Ręka ludzka niczego tam nie zmieniła. Jedynie sama przyroda podbija to miejsce swoją różnorodnością. Możemy wyobrazić sobie palisadę wykonaną z grubych drewnianych bali, bramę wjazdową z pewnością zabezpieczoną potężnymi drewnianymi wrotami. Do grodu prowadził długi na kilkadziesiąt metrów, drewniany pomost nad rzeką i bagnistym terenem od strony północy, który następnie przeistaczał się w strome podejście, pomiędzy polaną przed grodem, na której mieszkańcy wypasali zwierzęta. Od strony zachodniej gród okalała głęboka fosa. Kto wspiął się po podejściu, stawał na wprost wejścia do niego, jednak było ono jeszcze zabezpieczone drewnianą kładką nad kilkumetrowym urwiskiem. Możliwe, że ruchoma zapora, podnoszona i opuszczana w zależności od potrzeb i zagrożeń, jako ostatnia chroniła dojścia do wrot wejściowych. Wewnątrz z pewnością znaj-

dowało się kilkanaście drewnianych domostw połączonych z pomieszczeniami dla zwierząt hodowlanych. Często udawałem się do tego miejsca, aby tam wyobrazić sobie dawne niebezpieczne i ciekawe czasy.

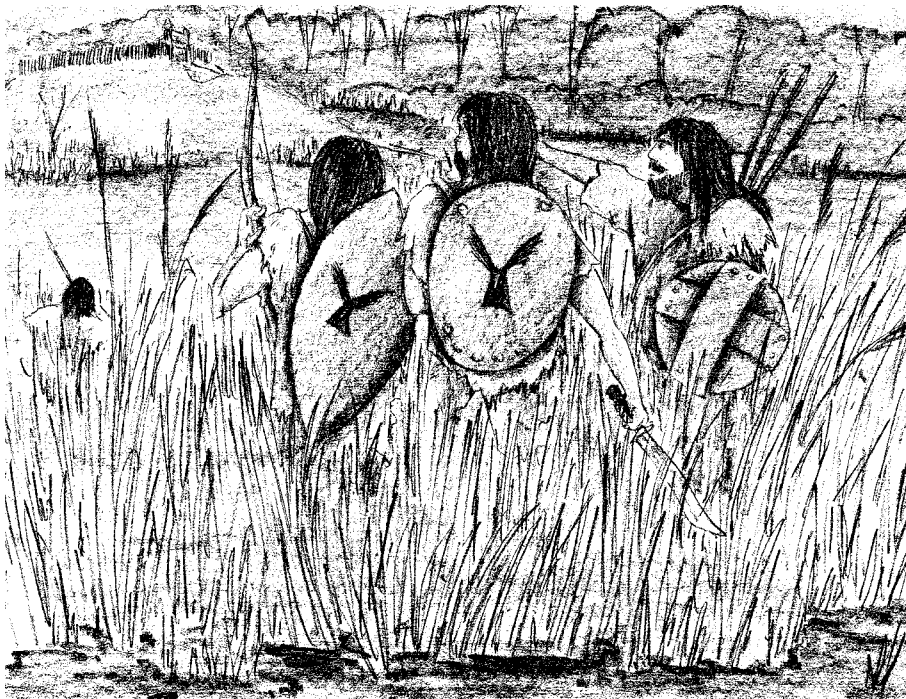
Pewnego pięknego jesiennego dnia stałem na wałach w miejscu, gdzie mogła znajdować się kiedyś brama wjazdowa, przez którą przybywali mieszkańcy wracający z polowań, zbieractwa, czy wypraw wojennych. Uwagę moją przykuł leżący na zboczu wału czerwony kamień, z jednej strony spłaszczony, wryty w torfowogliniastą skarpe. Pomyślałem wtedy, że musiała go położyć w tym miejscu ludzka ręka, przed wiekami, z pewnością przed 1000 laty. Jakiś człowiek umieścił go tam, by wzmocnić konstrukcję wału. Miał on imię, rodzinę, marzenia, wspomnienia, żył, jadł, polował, śmiał się i w końcu, jak każdy człowiek, odszedł z tego świata. Dręczyły mnie pytania bez odpowiedzi. Kim był? Jak wyglądał? Czym się zajmował? Biorąc pod uwagę, że kamień był duży, człowiek ów musiał mieć siłę, więc na pewno był mężczyzną, a że leżał on w górnej części wału, nieruszany przez setki lat i wryty w skarpe, sądzę, że aby go tam położyć musiał być młody i sprawny fizycznie. Więc był myśliwym, może wojownikiem.



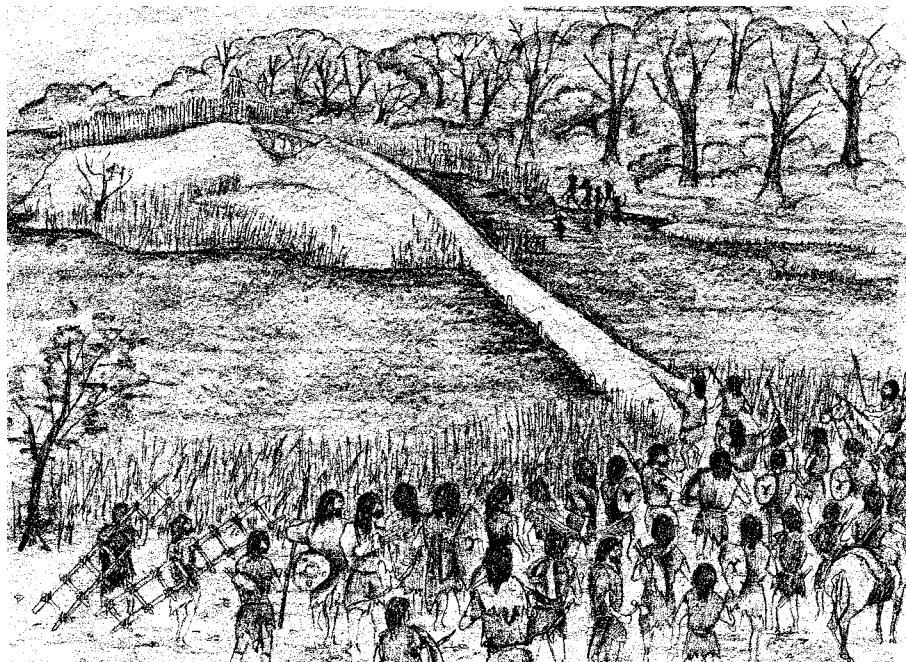
## Rozdział I

**R**obiło się ciemno, słońce zachodziło za olszynowy las i cień padał na opuszczone grodzisko. Cisza zapadła, ptaki umilkły. Wiewiórka sprytnie przeskakiwała po dębowym drzewie i ukryła się w dziupli. Przyglądałem się wykopanej przez lisa norze, która, jak zdjęcie rentgenowskie pokazywała przekrój wału. Otwierała kartę historii. Wyłaniała kamienie, fragmenty gliny i spalonych drewnianych bali. Pewnie gród spłonął przed wiekami, ale zanim do tego doszło, musiał wyglądać okazale.

A może wtedy również dzień chylił się ku upadkowi. Słońce wędrowało ku źródłom rzeki. W grodzie ludzie krzatali się wokół domostw. Wygaszano ogniska. Dorośli zaganiali dzieci do snu. Miękkie brunatno-brązowe nakrycia z sarnich skór otulały małe ciała. Ostatni maruderzy wracali do osady. Jeszcze kobiety wieszały u drewnianych belek stropowych wiązki ziół nazbierane za dnia na leśnych pola-



nach. Ścięta upolowanych zwierząt były niezwykle przydatne do tego celu. Wiązki różnorodnego zioła zwisały przeplecione nimi nad izbą. Drobne fragmenty spadały na ziemne klepisko. Dym z dogaszanych ognisk owędział podsuszzone mięso i zioła tak,



że żadne robactwo nie zbliżało się doń. Zapach wędzonki i wysuszonych roślin rozchodził się po pomieszczeniu, łaskotał w nozdrza i ukajał swoją wonią.

Zanim zamknięto bramę, do grodu wkroczyli ostatni myśliwi. Przynieśli tuszę tropionego cały dzień dzika. Położyli ją na dziedzińcu, na potężnym pniu dębowym, odartym z kory, na którym oprawiano mięso kościanymi i kamiennymi nożami. Upolowane zwierzę pozostawiają do rana. Byli bardzo zmęczeni. Kiedy wstaną podzielią tuszę na wszystkich mieszkańców grodu.

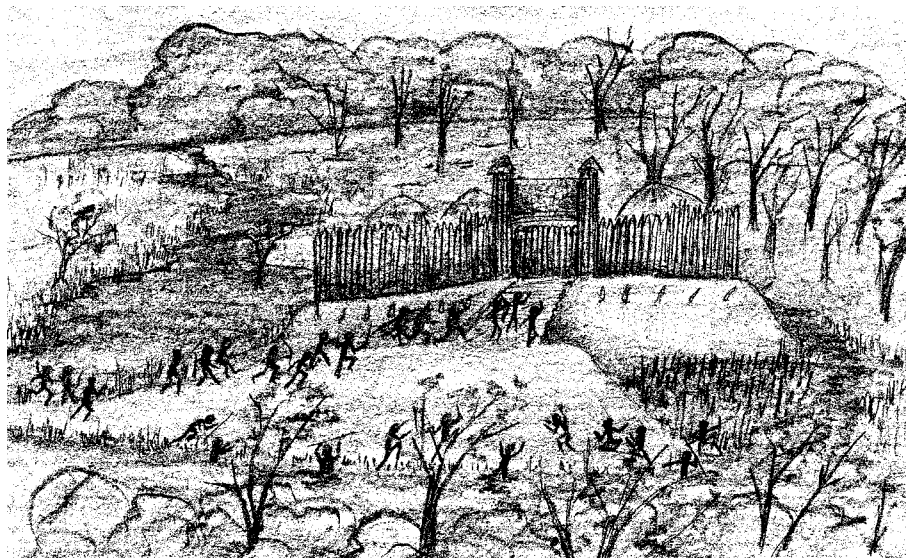
Wreszcie weszli do chaty. Starszy, o imieniu Nom, spojrzął jeszcze tylko w stronę wrót. Widział, jak dwaj dorośli mężowie zaciągają poprzeczną dębową belkę, by zabezpieczyć je od środka. W końcu ciemność ogarniała okolicę, a noc zachęcała do snu. Nad domami, ponad słomianymi dachami, uganiały się nietoperze, łapczywie chwytając komary. Zataczały koła, to gwałtownie pikowały poza palisady w kierunku lustra wody. Gdzieś w oddali zawył wilk, nagle niespodziewanie przeleciała sowa. Nikt nie spodziewał się, że tej nocy najeźdźcy z zachodu zechcą zawładnąć tym miejscem. Uśpiony gród zdawał się bezpiecznym schronieniem dla utulonych we śnie synów tej ostoi. Jednak potężny wróg z wroną na tarczy, zachęcany obietnicą łupów i grabieży, czyhał nieopodal. Przyszedł niespodziewanie, od strony zachodzącego słońca. Najeźdźcy przemknęli szybko i niepostrzeżenie przez głęboką puszcę, nie płosząc zwierząt i ptaków, nie zostawiając na ziemi śladów, nie depcząc mchów i porostów. Niczym duchy stanęli u bram grodu. Nie dali mieszkańcom możliwości na wytropienie ich i przygotowanie się do obrony. Wodzem ich był Wid. Okrutny barbarzyńca, który prowadził swoich ludzi od zwycięstwa

do zwycięstwa, grabiąc i paląc grody i ludzkie siedliska. Lud jego żył z grabieży i podbojów. Wojowie, uzbrojeni w długie oszczepy zakończone metalowymi, bądź kościanymi grotami, mieli łuki i miecze z czerwonej stali oraz kamienne noże. Podchodzili bezszelestnie do palisady grodu.

Było ich więcej i więcej. Ciemne postacie przebiegały w milczeniu po drewnianym pomoście, ku wzniesieniu. Inni przepływali głęboką fosę, wynurzali się z wysokich, porastających nabrzeża trzcin, by w końcu znaleźć się u bram drewnianej ostoi. Odziani w skórzane bluzy, o długich i ciemnych włosach, nieliczni konno, inni z drewnianymi drabinami biegli ku wyznaczonemu celowi. Ku zniszczeniu. Śmierć była w pobliżu. Żadnych odgłosów, żadnego nawoływania, żadnych komend. Bezszelestnie. Bliżej i bliżej, by w końcu uderzyć pełną siłą.

Kiedy już noc głęboka utuliła w śnie okolicę, dziesiątki istot ludzkich wypełzy niczym duchy z zarośli i kniei, otaczając niczego nie spodziewających się grodzian. Nocne zwierzęta ucichły. Wiatr przestał wiać, nawet listek nie drgnął na drzewie. Chłopot wody i tępe łamanie trzcin zwiastowało nadejście śmierci.

Z początku ciemne, ruchome punkciki wypełzały ze wszystkich stron niczym robaki z ziemi i zaciskały pierścień wokół grodu. Jedyne odgłosy wrony, będące mową, wojennym nawoływaniem ludzi-cieni, mogły wzbudzić podejrzenie. Ale noc, niczym w znowie, trzymała w mocnym uścisku wszystkich żyjących za palisadą. Sen, brat nocy, trzymał wartę nad ukojonymi odpoczynkiem i nie pozwolił nikomu przerwać tego stanu. Pierwsze zerwały się psy, dziwnie popiskiwały i kręciły się wokół domostw. Kiedy pierwsze szeregi wojów dobiegały do kładki i odgłosy stóp przerwały ciszę nocy, ktoś z wewnątrz grodu wybudził się niespokojnie, ktoś krzyknął, ktoś inny wrzasnął z przerażenia. Nagle dziesiątki strzał i płonących pochodni uderzyły w drewniane wrota. Teraz wrzeszcząca zgraja uderzyła z pełną mocą. Deli-



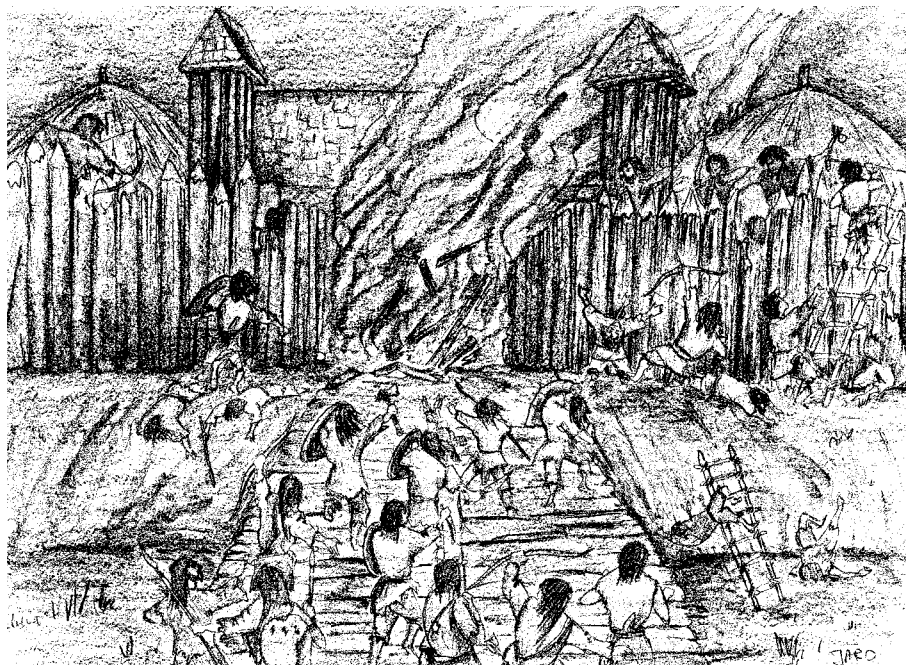
katne płomyczki przeniesione nad palisadą, rozświetlając nocne niebo docierały do miejsc swego przeznaczenia, wbijały się w słomiane dachy domostw, gdzie przystaczały się w groźne, coraz większe, bezlitosne płomienie trawiące wszystko, co napotkają na swej drodze.

Przeraźliwe krzyki zaczęły dobiegać z grodu. Płacz kobiet i dzieci mieszał się z okrzykami wojowników i komendami starszych. Panika, przerażenie i strach zagościły w grodzie. Obrońcy chwyтали za broń, wspinali się na wieniec palisady, by stamtąd ciskać strzałami i oszczepami w napastników. Świst strzał, krzyki i nawoływania zmieszały się po chwili w jeden chaotyczny, pozbawiony ludzkich cech, głos wojny. Obrońcy wyrwani ze snu robili, co mogli. Wszystko na nic. Płomienie trawiły wrota a woje spod znaku Wrony przenikali do wnętrza grodu, wspinając się po drewnianych drabinach, inni osłaniali śmiałków, strzelając z łuków do broniących się. Co chwila ktoś padał ugodzony strzałą, bądź oszczepem. Jęk umierających mieszał się z płaczem i nawoływaniem. Śmierć zbierała żniwo po obu walczących stronach. Strzały z ostrymi kamiennymi grotami szukały miejsc swego przeznaczenia. Jedne trafiały w drewniane konstrukcje, inne mijały cel i leciały gdzieś w przestrzeń, jeszcze inne wyrwały życie walczących, przesywając ich ciała. Gdy języki ognia nasyciły się drewnianymi wrotami, które w płomieniach rozpadły się na strzepy, otwierając drogę najeźdźcom, woje z impetem zaczęli wdzierać się na dziedziniec. Początkowo obrońcy dzielnie bronili wejścia. Kamiennymi toporami i włóczniami przesywali wyłaniających się z dymu. Ale napór wroga był zbyt ogromny. Szeregi obrońców zaczęły topnieć, linia obrony się załamała. Kiedy ostatni z grodzian padł na ziemię, dobytek osady był na wyciągnięcie ręki. Mordowano wszystkich, którzy stawili jakikolwiek opór, bez względu na płeć i wiek i choć obrońcy zaciekle bronili swego życia, przewaga ludu Wron była zbyt duża. Los napadniętych był już przesądzony. W końcu ogień strawił wszystko, co napotkał na swej drodze. Nieliczni próbowali uciec z grodu, by zaszyć się w okolicznych zaroślach. Tam było jedyne ich schronienie i nadzieja na pozostanie niewidocznym dla wroga oraz na przeżycie pożogi. Wysokie trzciny były ostatnią nadzieją dla tych, którym się udało wydostać szczeliną pomiędzy pniami palisady. Komu uda się tam dotrzeć, będzie uratowany.

Nom otworzył oczy. Usłyszał wronę, która krakała kilka razy. Policzył. Po chwili drugi ptak odpowiedział w ten sam sposób. Potem trzeci, z zupełnie innego miejsca. Kiedy usłyszał czwartą wronę, zastanowił się. Pomyślał, że to niemożliwe. Wtem od strony kładki dobiegły tępe odgłosy biegnących stóp. Serce zabiło mu mocniej. Wyczuł, że zbliża się niebezpieczeństwo. Wtedy zerwał się na nogi, zbudził swego syna, szarpiąc go za skórzaną bluzę. Wtem na niebie zabłyszczały języki ognistych strzał.

Jar, syn Noma, otworzył oczy. Był zmęczony po całodziennym polowaniu, ale stanowczy głos ojca wybudził go natychmiast. W chacie nie mieli broni. Kiedy wieczorem wrócili z polowania, a było już późno, wszystko: łuk i strzały, oszczep i inne przedmioty, pozostawili na łodzi ukrytej w tatarakach. Pobiegli do bramy,





ale ona była już w płomieniach. Wrogowie wspinali się po drabinach, świst strzał mieszał się z krzykiem ludzi. Wielu pobratymców oddało już ducha, a ich ciała spoczywały na ziemi. Kłęby dymu ograniczały widoczność i co chwila potykali się o zwłoki zabitych bądź porzucane przedmioty. Wrogowie wdzierali się z każdej strony. Doświadczony Nom rzucił:

– Nic tu! Wrota puszcza lada chwila! Do rzeki! Jest ich zbyt wielu! Trzeba ratować własne życie. Od strony wschodzącego słońca, w zaroślach jest ukryta łódź. Jeśli do niej dotrzemy, mamy szansę.

Jar próbował się przeciwstawić, chciał walczyć. Na dziedzińcu było już wielu wojowników z tarczami, na których widniał złowrogi rysunek czarnego ptaka. Silna ręka ojca pociągnęła go jednak w kierunku wyrwy w palisadzie, przez którą wydostali się na zewnątrz. Ktoś już przed nimi odsunął zabezpieczenie tego wyjścia awaryjnego. Wcześniej było ono zakryte drewnianymi balami i kamieniami. Ktoś już wyszedł tą drogą. Pobiegli w kierunku zarośli, gdzie stała pozostawiona z wieczora łódź. Obaj wdrapali się na nią. Jar złapał długi kij z dna łodzi i począł odpychać ją od brzegu, wbijając go w muliste dno. Nom chwycił za podłogi cisowy łuk i strzały. Wiedział, co się za chwilę stanie.

Plądrujący grodzisko znaleźli przejście i dojrzeli uciekinierów. Kilku z okrzykiem na ustach ruszyło za nimi. Przecisnęli się przez szczelinę na zewnątrz, ale biec po pochyłym nasypie było im trudno. Doświadczony myśliwy miał teraz przed sobą cel. Widział, jak postacie wyłaniają się ze szczeliny. Napiął łuk. Celował w pierwszego wybiegającego najeźdźcę. Widział jego twarz, szeroko rozstawione,

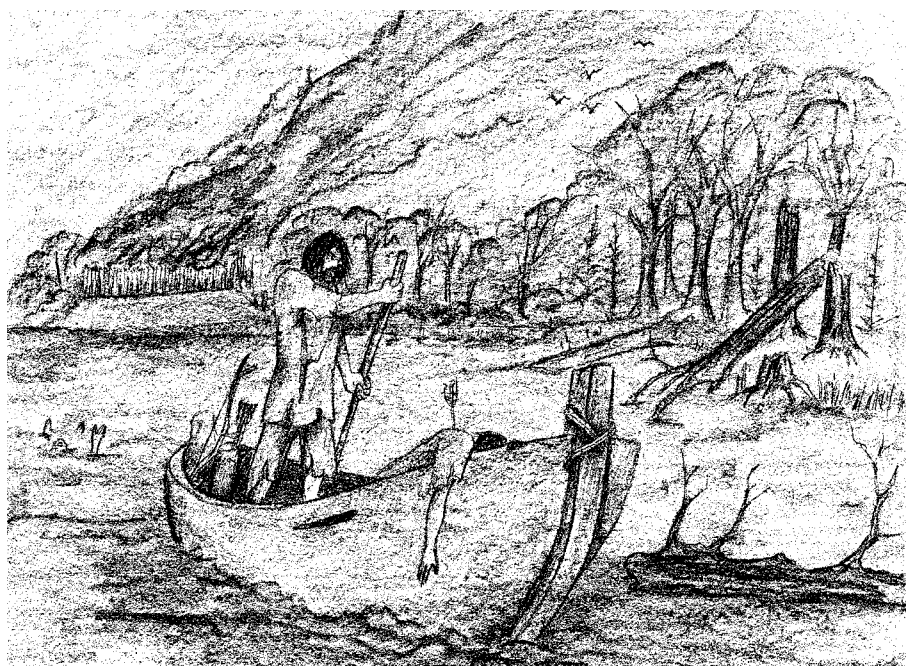
duże oczy, rozwarte, krzyczące coś usta. Napiął łuk najsilniej jak potrafił, wstrzymał oddech. Świat dookoła się nie liczył, tylko on i cel. Wypuścił strzałę. Napastnik ugodzony w bok osunął się na zboczu, pozostali trzej próbowali dostać się na łódź. Wskoczyli do wody, jednak w grzaskim dnie spowolniły się ich ruchy. Nom tylko na to czekał. Kolejny raz napiął łuk i wypuścił strzałę w kierunku najbliższego ze ścigających. Strzała przeszła mu gardło i charcząc, osunął się na nabrzeżne trzciny. Pozostali dwaj na chwilę zastygli w osłupieniu, ale wytrawny myśliwy wprawnymi ruchami dobywał następnych strzał i ciskał nimi w kierunku wrogów, raniąc obu. Niebezpieczeństwo chwilowo się oddaliło. Łódź z wolna wpływała w koryto rzeki. Gród był już cały spowity dymem. Płomienie niemal dotykały chmur. Pozostali najeźdźcy dostrzegli oddalających się. Wielu z nich zaczęło ciskać strzały w kierunku łodzi.



Jar nie widział, co dzieje się wokół niego. Słyszał krzyki dookoła, głos ojca nawołujący go do szybszego odpychania łodzi od brzegu, słyszał trzaski płonących w oddali drewnianych żerdzi, szum wody i świst strzał przelatujących nieopodal jego głowy. Kilka wbiło się w kadłub, kilka spadło w wodę tuż, tuż. Z olbrzymim wysiłkiem wbijał drąg w bagniste dno i wprawiał łódź w coraz szybszy ruch w kierunku głębokiej wody.

Ręce omdlałe ze zmęczenia zaczęły odmawiać posłuszeństwa. Lecz życie było darem, o który trzeba było walczyć za wszelką cenę. Od dawna nie padały deszcze. Poziom wody był niski, więc trzeba było niezwykłego wysiłku aby przepchnąć łódź

po bagnistym dnie w kierunku koryta rzeki. W końcu się udało. Łódź skręciła w kierunku wschodzącego słońca, nabrała prędkości. Świst strzał był coraz rzadszy, z wolna cichły odgłosy walki. Kiedy znaleźli się w bezpiecznej odległości, Jar mętym wzrokiem zaczął szukać ojca. Kątem oka dostrzegł go leżącego na dziobie łodzi. Jedna z wielu wystrzelonych w ich kierunku strzał znalazła swoje przeznaczenie i ugodziła go w plecy, bezszelestnie zabierając jego ducha.



Kiedy dotknął ciała ojca, zrozumiał, że został sam. Nie było czasu na rozpacz. Trzeba było jak najszybciej i jak najdalej uciec od tego miejsca. Bez słowa, dalej sterował łodzią, a właściwie płynęła ona samoczynnie z prądem rzeki. Miejsce, które było jego domem, wspomnieniami, schronieniem przestało istnieć. Znał okolicę. Wiedział, że pół dnia drogi stąd znajdują się osady ludzi podobnych do niego. Kierował się w ich stronę. Pełen żalu, nieprzytomny ze zmęczenia, w końcu opadł z sił i zasnął. Łódź niesiona prądem rzeki kierowała się ku wschodzącemu słońcu, jednak po pewnym czasie zniesiona na nabrzeże, osiadła wśród traw i trzcin.

Zapadła cisza. Dym widoczny z dużej odległości zaalarmował ludzi lasu o tragedii, jaka wydarzyła się w grodzie. Widzieli go polujący na dzikie ptactwo myśliwi z koczowniczego Klanu Jelenia. Wędrowali oni całe życie, zatrzymując się jedynie na czas zimy i łowów na leśnych polanach, trzymali się brzegów rzek, przemierzali ścieżkami zwierząt, najczęściej stad jeleni. Czekali właśnie bez ruchu, na wodne ptactwo, którego w tej okolicy było pod dostatkiem, kiedy ujrzeli dym.

Wyjątkowo czujni, ostrzeżeni przez ciemną lunę o niebezpieczeństwie, ludzie zaczęli kierować się wzdłuż brzegu życiodajnej rzeki w kierunku dogasających zgliszczy.

Nagle myśliwi zauważyli osiadłą na mieliźnie łódź. Najpierw czekali jakiś czas, wymienili spojrzenia, po czym bezszelestnie, ostrożnie zbliżyli się do niej.

Najstarszy myśliwy o imieniu Drad wszedł do łodzi. Litościwie spojrzął na przesyte strzałą ciało Noma, po czym szepnął do swych towarzyszy:

– Ten drugi żyje, musimy go zabrać. Jak odzyska siły powie, co się wydarzyło.



Wyciągnęli z łodzi na wpół żywego Jara i zanieśli na brzeg. Tam, by nie palić ogniska, którego dym mógłby ściągnąć obcych i nieszczęście, położyli go na mchu i przykryli trzciniowymi gałęziami. A gdy zapadł zmrok, w zagłębieniu ziemnym rozpalili płomień i nakarmili nieszczęśnika pieczonym mięsem z upolowanych dzikich kaczek. Nie miał on żadnych ran, a jedynie potworne zmęczenie sprawiło, że był bezsilny i osłabiony. Teraz, kiedy rozgrzał swoje ciało, przyjrzał się ludziom, którzy go otaczali. Nie widział ich wcześniej. Przyjrzał się ich broni i naszyjnikom. Nie znał takich ozdób. Tamci nic nie mówili. Jednak przyjazne gesty zachęcały go do wypowiedzi:

– Jestem Jar z grodu z bagien. Napadli na nas silni wrogowie noszący na tarczach wizerunek lecącej wrony. Przyszli nocą, bezszelestnie. Niczym wiatr przemierzili puszcę, nie płosząc zwierząt. Spalili gród. Słyszałem krzyki kobiet i nawoływania wojowników. Zapanował zgiełk. Słodki zapach krwi zaczął mieszać

się z dymem. Ojciec wyciągnął mnie z postania i wyprowadził z grodu. Potem walczył z napastnikami. Nie wiem, czy ktokolwiek ocalał. Uciekałem z ojcem, ale on zginął przesyty strzałą. Nie wiem, co było potem.

Jestem Drad z Klanu Jeleni – odezwał się jeden z myśliwych. – Byłem z moimi braćmi na polowaniu, kiedy dojrzelśmy dym od strony zachodzącego słońca. Potem znaleźliśmy cię na łodzi, na wpół martwego. Ten drugi starszy wojownik już nie żył. W plecy miał wbity strzałę zakończoną metalowym grotem.

– To był mój ojciec – odrzekł Jar, a po chwili dodał. – Dziękuję, że mogę zasiąść przy płomieniu i posilić się waszą zdobyczą.

Potem wszyscy zasnęli, uprzednio dogaszając płomyk, przykryci trzciniowymi gałęziami. Wszyscy z wyjątkiem Drada. On trzymał w ręku grot strzały, która przyniosła śmierć Nomowi. Wrony to silni wrogowie – pomyślał. Rzenie koni zbudziło Jara z głębokiego snu. Skoczył błyskawicznie na równe nogi, ale Drad go uspokoił:

– Nie obawiaj się. To nasze konie, jesteśmy klanem wędrownym. Żyjemy w szałasach ze skór jeleni, idziemy za ich stadami i oswoiliśmy te dzikie zwierzęta. Są nam niezwykle pomocne. Były ukryte w lesie. Teraz możesz je poznać.

Jar obejrzał konie. Słyszał opowieści o tych niezwykłych zwierzętach, widział je dziko żyjące, ale nie dosiadał nigdy takiego.

– Pojedź z nami do naszej osady. Tam wypoczniesz i zdecydujesz, co dalej – zaproponował mu jeden z myśliwych. Po chwili dodał: – Zwą mnie Berd.

Szybkim zwinnym ruchem dosiadł konia, który stał spokojnie w miejscu, jakby na to czekał. Wyciągnął rękę do Jara, po czym mocnym szarpnięciem wciągnął go za swe plecy. Pozostali dosiedli swoich wierzchowców i pojechali w kierunku wstającego słońca. Jar pożegnał wzrokiem ledwo widoczne, dopalające się, o czym świadczył jeszcze unoszący się dym, grodzisko. Kiedy spał, myśliwi pogrzebali jego ojca i choć w tradycji było palenie zwłok, to w tym przypadku postawienie stosu żałobnego i rozpalenie dużego żałobnego ognia było by nieroztropne i mogłoby ściągnąć czających się pewnie gdzieś w okolicy ludzi Wron. Dlatego też pogrzebano go w mrowisku. W ten sposób stary myśliwy zjednoczył się z przyrodą, stał się częścią lasu. Duch jego odejdzie do gwiazd, zaś ciało nakarmi i da życie tysiącom innych mieszkańców boru.

Oddalając się od zgliszcz, Jar miał mieszane uczucia. Z jednej strony ogarał go niesamowity żal z powodu utraty ojca, który był dla niego wzorem i od którego uczył się wszystkiego. Zrodziła się chęć zemsty za wszelką cenę, już, natychmiast. Krwiożerczy zew budził się w jego żyłach. Z drugiej zaś strony, uczony przez Noma rozsądku i cierpliwości, zdawał sobie sprawę, że w pojedynkę może jedynie zginąć w konfrontacji z tym wrogiem i teraz. Ojciec nakazałby mu czekać na sposobną chwilę. Czekać cierpliwie. Jeszcze raz spojrzął w kierunku mrowiska, miejsca, które utuliło Noma w jego ostatniej drodze. Potem spojrzął w niebo i poprzysiął sobie, że dopóki nie przeleje krwi oprawców, nie zazna spokoju.

Tak pożegnał się z przeszłością, nagle i dramatycznie. Za plecami pozostały dawne wspomnienia, twarze i głosy ludzi, których znał, zapach chaty, ziół i wędzonego mięsa. Widok bezpiecznego zdałoby się, grodu i okolicznych miejsc. Zachowa te wszystkie wspomnienia i pewnie jeszcze nie raz będzie myślami wracał do poszczególnych zdarzeń i sytuacji groźnych czy zabawnych, tych, które przeżył w swoim dotychczasowym domu. Zachowa je głęboko, ale teraz musi iść, a właściwie jechać w nieznaną.

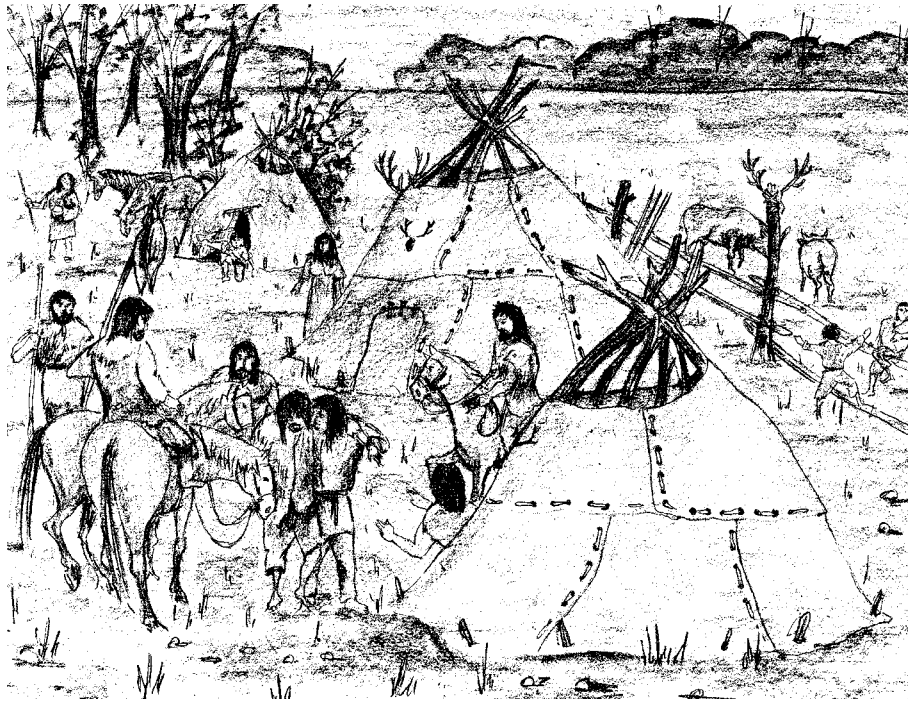
Jazda konna okazała się niezwykłym przeżyciem dla Jara. Pierwszy raz czuł pod stopami powietrze. Nie męczył nóg, a prędkość z jaką się poruszali była zadziwiająca. Kiedy konie ruszyły galopem, wtedy oczy Jara stały się olbrzymie jak księżyc w pełni. To niesamowite zwierzęta, posłuszne człowiekowi, silne i pełne wdzięku, niczym wiatr pokonujące przestrzeń z zawrotną prędkością. Kiedy słońce stanęło najwyższej, dotarli do obozu ludzi Klanu Jelenia.



## Rozdział II

**P**ośród namiotów krzątały się kobiety i dzieci. Ktoś pomógł Jarowi zejść z konia i wprowadził go do środka. Tam podano mu ciepłe zioła o gorzkim smaku. Bez słowa wypił i zasnął. We śnie przyszedł do niego ojciec, pogładził go po policzku, przytulił do piersi, powiedział, że śmierć wskazała mu drogę na gwiazdziste niebo, by tam, wraz z matką, dzielili wieczny spokój, a w gwiazdziste, bezchmurne noce, by spoglądali w jego stronę. W rękę ojca widział kości. Może to były kły wilka, może pazury niedźwiedzia. Jak przez mgłę przesuwwały się obrazy, które bladły, aż stały się nieczytelne.

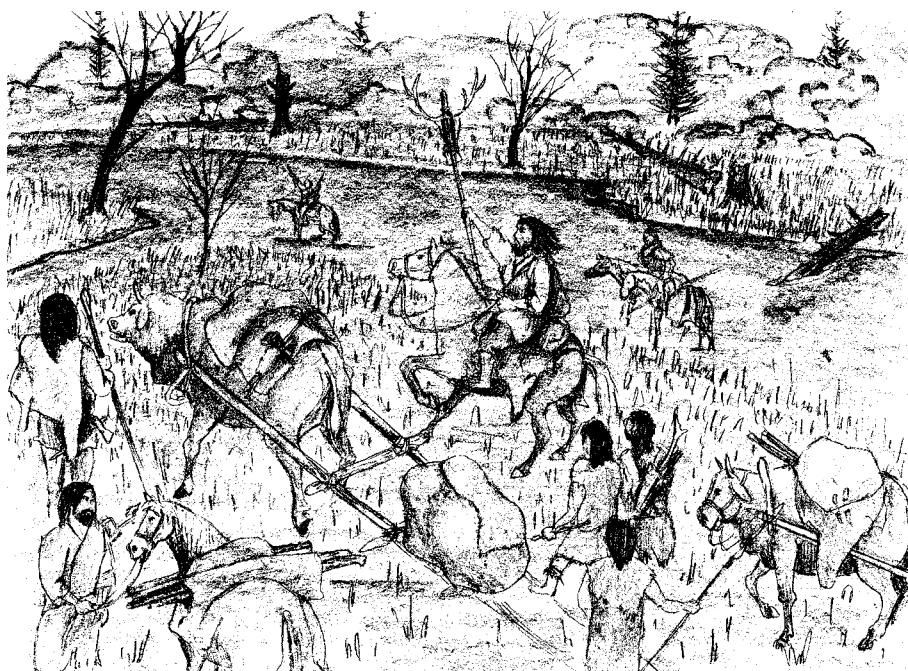
Kiedy otworzył oczy, obok nikogo nie było. Szybko uzmysłowił sobie, co się wydarzyło. Podniósł się z posłania ze skór. Z zewnątrz docierały odgłosy krzątających się ludzi. Odsunął zasłonę i w świetle poranka zobaczył koczowników poruszających



się gorączkowo po obozowisku, zbierających narzędzia, skóry i broń. Widział, jak wiążą zwierzęta. Prócz koni mieli jeszcze woły, na które kładli skórzane wory wypełnione dobytkiem. Gdy tak przyglądał się powstałemu zamieszaniu, nie zauważył, jak podszedł do namiotu Drad. Położył rękę na jego ramieniu i rzekł:

– Ziola dodały ci sił. Wyglądasz znacznie lepiej. Kiedy cię znaleźliśmy, byliśmy właśnie na ostatnim polowaniu przed odejściem z tych terenów. Teraz pakujemy, co posiadamy i ruszamy w drogę. Jeśli zechcesz, pójdziesz z nami. Będziemy wędrować wzdłuż rzeki w kierunku miejsca, gdzie łączy się ona z inną większą wodą. Tam rozbijemy obóz. Jar przytaknął głową. Cóż miał tu czynić? Gród spłonął, pewnie wszyscy zginęli. Nie mógł ryzykować powrotu, Wrony może jeszcze tam były. Ci ludzie dali mu schronienie, więc dopóki nie odpłaci za ich dobroć, zostanie wśród nich.

Koczowniczy Klan Jelenia ruszył wzdłuż koryta rzeki prowadzony przez Drada. Kolumna poruszała się z wolna, pomiędzy ludźmi szły objuczone woły niosące na grzbietach wszystko, co posiadali. Konie niosły jeźdźców uzbrojonych w łuki i oszczepy. Kobiety pilnowały dzieci, które każdy moment wykorzystywały na zabawę gałęziami i błotem. Jar bacznie przyglądał się koniom, zwierzęta te wzbudziły jego podziw. Siedział już na jednym z nich. To piękne i silne zwierzęta, powtarzał sobie w myślach wiele razy. Widział stado takich, gdy polował z ojcem na dużych polanach. Nie zdołał się zbliżyć, gdyż były bardzo płochy i na widok



myśliwych uciekły. Nie sposób było ich dogonić. Zastanawiał się, skąd ludzie Klanu Jelenia mieli ich tyle. Niemal każdy z kilkunastu mężczyzn posiadał swoje zwierzę. Czasami pozwalali dosiąść je kobietom i dzieciom. Myśli przeplatały się w jego głowie. Trawił w sobie ostatnie tragiczne zdarzenia, w wyniku których stracił ostatnią bliską sobie osobę.



Bijąc się z myślami nie zauważył, kiedy grupa dotarła do miejsca, gdzie rzeka łączyła się ze swoją większą siostrą.

Drad zarządził obóz. Choć była to pora roku, kiedy kwitną wrzosi i noce stały się chłodniejsze, to dzisiejszą noc klan spędzi pod gołym niebem, by raniem ruszyć w dalszą drogę. Rozpalono ogniska. Jar usadowił się przy jednym z nich, najbliżej koni. Nie odrywał od nich wzroku. Ktoś złapał go za ramię i powiedział:

– Będziemy niebawem przechodzić nieopodal rozległych polan. Tam żyją te zwierzęta, może szczęście ci dopisze.

Zastanawiał się, o czym mówił ten człowiek. Patrzył w blask palących się drewn. Płomień dogasał. Zasnęli na wrzosowych kępach.

Raniem ruszyli dalej, a ponieważ drogi zwierząt się rozmyły, a puszcza stała się coraz to gęstsza, Drad postanowił iść korytem rzeki. Woda sięgała koniom do kolan. Co jakiś czas nabrzeżne ptactwo zrywało się do lotu. Z głębi lasu dobiegał dostoyny głos jelenia, potem drugiego. To głos puszczy. Niezliczona liczba gatunków zwierząt i roślin, zmagająca się ze sobą i rywalizująca w walce o przetrwanie. Po całym dniu marszu wyczerpany lud zaległ na skraju polan. Tu spędzą czas do drugiego pełnego księżyca.

Przy wieczornych ogniskach cała wspólnota jadła, opowiadała historie swego ludu i odpoczywała. Jar opowiedział im teraz, jak to żył z ojcem w grodzie, gdzie wszyscy stanowili jedną rodzinę. Śmierć każdego z osobna stanowiła tragedię dla całej wspólnoty. Matki nigdy nie znał. W wychowaniu pomagali inni. Opowiadał, jak to polowali z ojcem na dzikie zwierzęta. Jak zbudził go i nakłonił do ucieczki przed wściekłym stadem Wron. Jak uratował go, sam oddając ducha. W zamian usłyszał opowieść o stadach koni pasących się na równinach. O tym, że przewodzi im ogier, najsilniejszy i najwaleczniejszy ze stada. Strzeże on i broni swojej rasy. Nawet wilki w małych grupach omijają jego silne kopyta.

– Jak więc można osiąść takie konie? – dręczyło go pytanie.

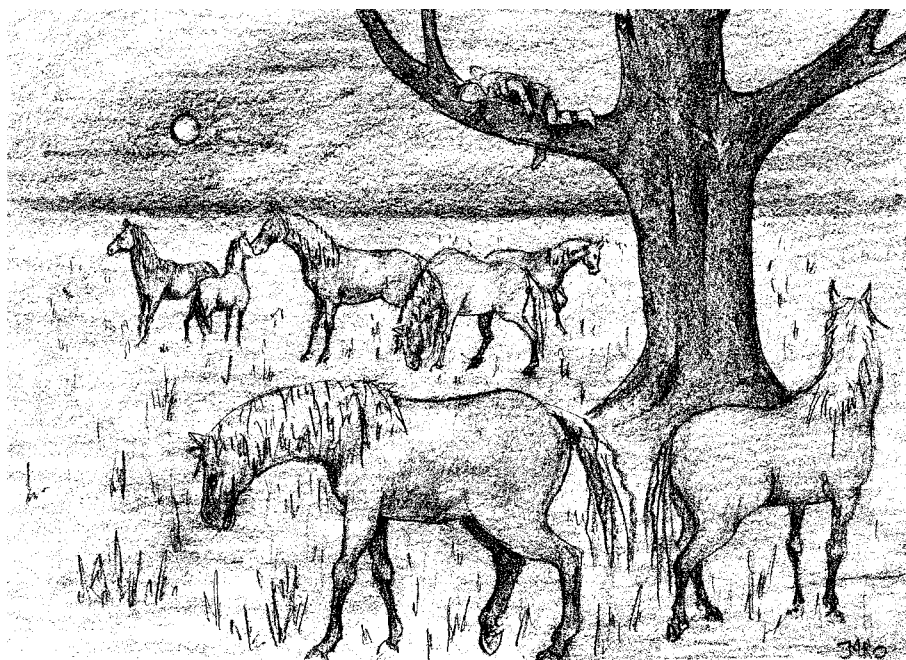
– Trzeba je złapać – odpowiedział ktoś z słuchających. Wszyscy się roześmiali.

– Kto dogoni konia?

Kiedy księżyc stanął nad czubkami drzew, Jar położył się na trawie w pobliżu koni. Naszła go myśl. Pamiętał, kiedy z ojcem polował na jakieś drobne ptactwo, widział, jak leśny kot, wielki jak koza, zwany rysiem, czał się na drzewie na dużo większego od siebie i szybszego jelenia. Jak cierpliwie czekał, a kiedy tamten podszedł blisko, ryś spadł na niego z drzewa niczym piorun i powalił. Obudził się w nim pewien plan. Skoro świt dopadł do Drada. Zaczął wypytywać o konie, dzikie konie. Gdzie ich szukać, jak się zachowują, jak sprawić, by dzikie zwierzę nauczyć posłuszeństwa. Potem opuścił obóz na kilka dni. Kiedy odchodził, Drad odprowadzał go wzrokiem. Uśmiechał się z lekka. Polubił go i miał nadzieję, że się jeszcze spotkają.

Po dwóch dniach wyczekiwania i poszukiwań Jar zauważył wreszcie ślady kopyt. Tropił je, aż wieczorem ujrzał zwierzęta. Szły w kierunku zachodzącego

słońca, do lasu. Po drodze skubały trawę. Wśród nich jedno zwierzę przykuło jego uwagę. Stało dumnie z szeroko rozstawionymi nogami i bacznie obserwowało okolicę.

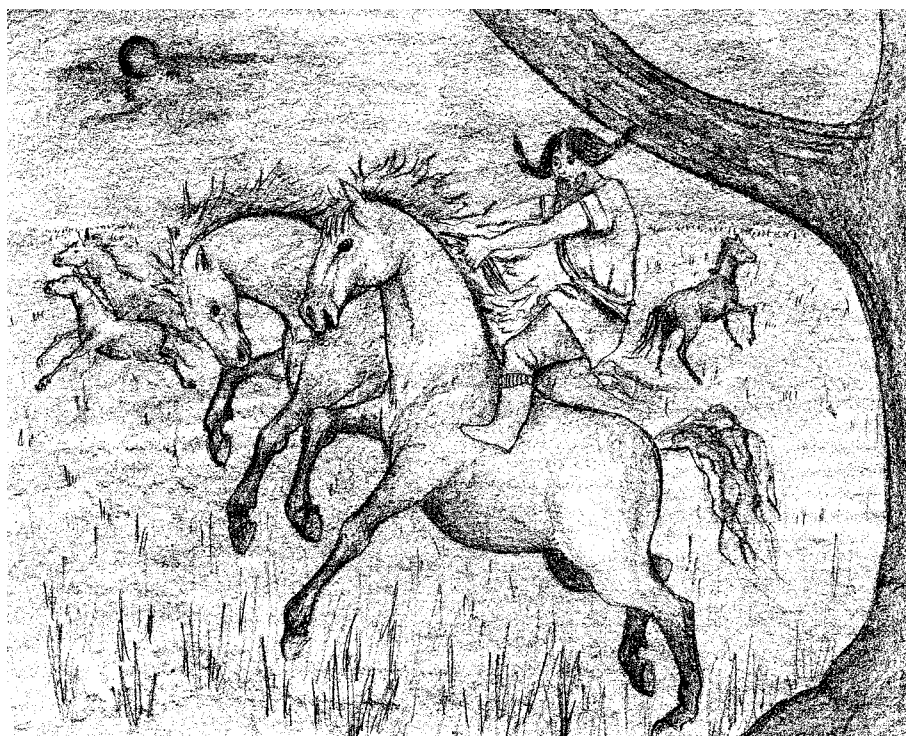


– To przywódca stada – pomyślał. Błyskawicznie ocenił sytuację. Lekki wietrzyk powiewał w kierunku lasu. Jeśli obejdzie szerokim łukiem pasące się zwierzęta, może na nie poczekać przy lesie. Ale zwierzęta tam nie dotarły. Pozostały na równinie, pośród traw i wrzosów. Dzień zapowiadał się słoneczny. Po chłodnej nocy zmarznięty, rozczarowany i zły człowiek postanowił się ogrzać w promieniach słońca. Leżał więc na ziemi, na skórzanej bluzie, którą wraz z butami i spodniami dostał od Drada i rozmyślał. W miarę upływu czasu słońce nagrzało jego ciało i postanowił się schować. Wtedy wpadł mu do głowy następny pomysł. Skoro jemu jest ciepło to może koniom też. Uniósł głowę z traw i szukał na polanie drzew. Wzrok jego przykuł samotny dąb. Jeśli konie go widzą, to może przyjdą ukryć się w cieniu. Począł czołgać się w kierunku drzewa, a kiedy już tam dotarł, wspiął się na konar. Panowała cisza. Wszedł na najwyższą z możliwych gałęzi tego wysokiego, rozpostartego drzewa i bystrym wzrokiem szukał stada.

– Jest, hm, pod lasem. Nic więc z chytrego planu.

Przeczekał do wieczora. Nie schodząc z drzewa, przespał na grubej gałęzi całą noc. Rano zauważył stado. Wyszło na równinę. Pasło się i przemieszczało w jego kierunku. Leżał i czekał cierpliwie. Przyglądał się zwierzętom. Przypomnił sobie rysia.

Zbliżało się południe. Słońce zaczęło mocniej świecić. Konie przemieszczały się właśnie pod wysoki rozłożysty dąb. Jarowe serce zabiło mocniej, może faktycznie miał rację, może podejdą do cienia, może...? Położył się na najniższej i najgrubszej gałęzi. Okoliczności mu sprzyjały, zwierzęta szły pod wiatr, więc nie mogły wyczuć jego zapachu. Leżał. Serce biło jeszcze mocniej. Czuł w sobie oddech drzewa, czuł zapach tych ślicznych zwierząt. Słyszał rzenie ogiera, przewodnika stada, który prowadził konie w cień dębowych gałęzi. Są. Pasą się nadal spokojnie, ogier rozgląda się co jakiś czas. Wypatruje niebezpieczeństw. Podchodzi pod gałęzie. Jar słyszy jak oddycha. Sam leży nieruchomo, jakby zrośnięty z gałęzią. Czeki. Koń podszedł tak blisko, właściwie jest pod myśliwym. Jar widzi teraz jego silne, umięśnione cielsko i długą grzywę. Nie czeka dłużej, instynkt myśliwego mu podpowiada: – Teraz! – Niczym błyskawica spada na grzbiet zaskoczonego zwierzęcia. Koń jęknął i podskoczył, ale Jar chwycił go rękoma za grzywę. Zwierzę parsknęło złowrogo i pokazało zęby, potrząsało głową i podskakiwało. Pozostałe konie rozpierzchły się po okolicy. Nie puszcze cię, nie puszcze! – krzyczał podniecony myśliwy. Koń trzął łbem na wszystkie strony, kopytami zrywał trawę i po-



rosty. Jar zacisnął w dłoniach grzywę. Po pewnym czasie na końskim łbie, nozdrzach i grzbiecie wystąpiła biała jak śnieg piana. Była ona zwiastunem zmęczenia. Ogier, mimo usilnych starań, nie mógł w żaden sposób pozbyć się intruza.

Zmienił więc taktykę. Począł gnać naprzód, przed siebie, co sił w nogach, jakby w ten sposób chciał uciec. Nie pomogło. Gnali więc przez równinę niczym wiatr, do utraty tchu. Jar był już potwornie zmęczony. Omdlały mu ręce i nogi. Jeszcze trochę i ustąpi. Koń jednak stracił siły wcześniej. Nagle zwolnił, potem zaczął iść, aż w końcu stanął, dysząc przeraźliwie. Uznał w ten sposób porażkę. Jar nie czekał dłużej. Wyrwał kilka swoich włosów, splótł je z włosami z grzywy konia i wsadził mu je do nozdrzy, a potem do pyska. Zwierzę wciągnęło powietrze, ruszyło kilka razy łbem i nastąpiła cisza. Stali tak jakiś czas. Na równinie nie było nikogo, wszystkie pasące się zwierzęta uciekły w panice. Jar wiedział, że zwierzę jest jego. Powiedzieli mu, że ogier będzie mu służył wiernie, jeśli poczuje zapach jego włosów i posmakuje jego potu. Tak się stało. Mówił więc do zwierzęcia tajemnicze zaklęcia, po czym ścisnął jego boki obolałymi nogami. Koń powoli ruszył, po czym zaczął biec, ale tym razem stanowiąc jedno ze swoim pogromcą. Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, gnali już scaleni, niczym strzała po bezkresnej równinie, płasząc stada ptaków i świerszczy.

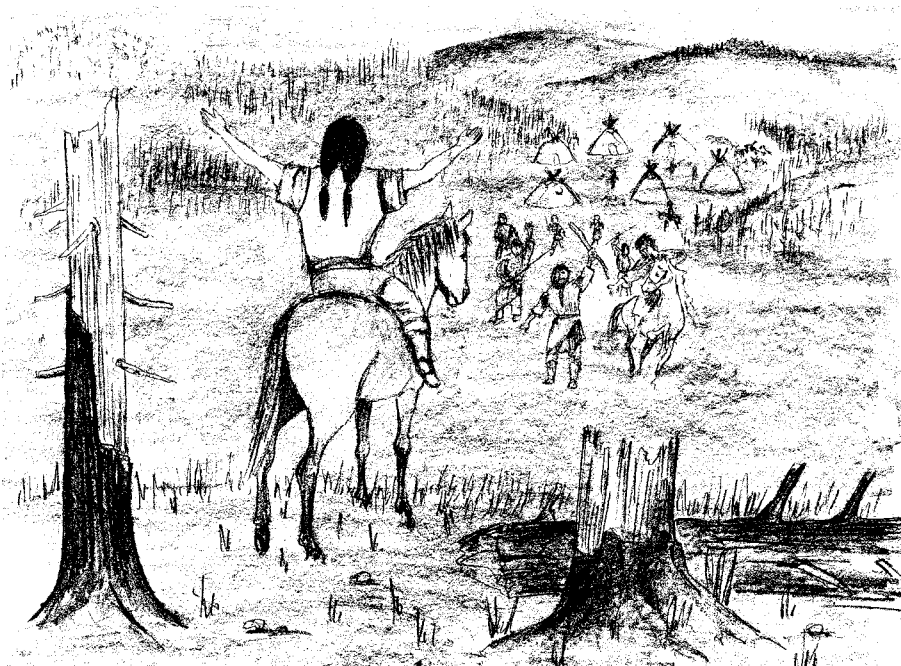


Teraz byli jednością. Wiatr rozwiewał grzywę ogiera i ciemne włosy Jara. Powietrze muskało jego policzki, a prędkość, do której nie był przywykły, zawrotna sprawiała wrażenie, że jest wiatrem i szybuje po równinie niczym ptak. Może dogonić pędzące jelenie, może uciec przed stadem rozszalałych wilków. Jednego dnia

może przemieścić się daleko, dokąd tylko sięga jego wyobraźnia. Teraz jest równy wojownikom z Klanu Jelenia.

Minęło kilka dni. Obozowiska klanu nie było już w miejscu, gdzie się rozstali. Pozostawione na ziemi ślady wskazywały, że poszli dalej w kierunku wschodzącego słońca. Mógł teraz jechać, gdzie chciał. Był wolny. Ale zawdzięczał życie Dradowi, Berdowi i temu trzeciemu, którego imienia nie pamiętał. Postanowił, że dopóki im się nie odwdzięczy, nie odejdzie.

Ścisnął kolanami ogiera, pociągnął go za włosy i po wyszeptaniu zaklęcia, pognął zwierzę ku wschodzącemu słońcu. Dwa dni i dwie noce jechał w samotności, zatrzymując się jedynie na popas. Sam zadowolił się jagodami, których tego lata było pod dostatkiem. Ryczące jelenie przypominały mu o klanie. Trzeciego dnia krajobraz zaczął się zmieniać. Grube sosny traciły swoją moc na korzyść świerkowych drzew. Teren stawał się pofałdowany i pagórkowaty. Ryk niedźwiedzi zakłócał ciszę i płoszył konia. Tego dnia około południa Jar poczuł woń ogniska. Ludzie. Klan Jelenia był blisko. Wdrapał się więc ze swoim rumakiem na najbliższe wzniesienie. Z tego miejsca widział cały obóz swoich towarzyszy. W dole też go



zauważono. Kilku wojowników chwyciło za broń, nie poznawszy przybysza. Biegli w jego kierunku. Kiedy byli w odległości, z której mógł rozpoznać osoby, podniósł rękę. Poznał Drada. Wykrzyknął jego imię. Tamci stanęli i opuścili broń, po czym z niedowierzaniem przyglądali się myśliwemu i jego ogierowi. Pierwszy podszedł Berd:

– Witaj człowieku z łodzi. Dokonałeś niesłychanej rzeczy. Przyjechałeś na ogierze. Masz konia. Jesteś wielkim myśliwym.

Drad stał nieopodal, uśmiechnął się serdecznie i pomyślał, że potężne słońce go wysłuchało. Jar żyje i wrócił.

Noc upłynęła na niekończących się opowieściach. Jar opowiadał, jak przechytrzył ogiera kilka razy. Poklepywano go po ramieniu, zapraszano do swoich namiotów. Spokój nocy przerywał ryk niedźwiedzia. Gdzieś tam w pagórkowatym lesie czała się bestia. Minęło kilka dni. Życie w obozie płynęło spokojnie. Kilku myśliwych wyjechało na polowanie, kobiety i dzieci chodziły do lasu zbierać jagody. Jar z innymi zajęty był robieniem siodła i strzemion dla konia. Wy tłumaczono mu, że koń w uprzęży jest bardziej posłuszny w chwili zagrożenia i daje sobą lepiej sterować.



Słońce jeszcze świeciło dość mocno. Mężczyźni porozbierali się z ubrań i wygrzewali się w ostatnich tak ciepłych dniach przed nastaniem śniegów. Sielanka nie trwała jednak zbyt długo. Pozorny spokój przerwały krzyki dobiegające od strony lasu. Jakaś kobieta podbiegła do innej, ta złapała się za głowę. Zaczęły krzyczeć,

po czym pobiegły w kierunku namiotów. Po chwili zrobiło się tłoczno przy namiocie Drada. Jar porzucił pracę i poszedł za wszystkimi. Tam dowiedział się, że kilkoro dzieci, które biegały na jagodowych polanach, oddaliło się w kierunku strumienia. Kiedy poszła za nimi jedna z kobiet, zaatakował ją i zranił niedźwiedź. Leży teraz pośród jagodowych krzaków i ciężko oddycha. Dzieci zniknęły, a przeraźliwy ryk bestii słychać było w obozie. Nie czekano dłużej.

Drad nakazał kilku swoim ludziom pójść po kobietę. Pozostali mieli szukać dzieci. Zanim jednak się rozeszli, z namiotu Drada wyciągnięto skórzany wór, w nim zaś były kości.

– Nie, to nie kości – gadał do siebie Jar. To były łuki z rogów jeleni. Wojownicy schwycili leżące na skórze przedmioty i rozbiegli się po okolicy. Jeden z nich, widząc zdziwionego widokiem takiej broni Jara, rzekł:

– Drewnianymi polujemy, tymi zabijamy bestię – po czym zniknął w sosnowym lesie.

Jar, myśliwy z krwi i kości, poczuł w sobie zew. Krew zaczęła mocniej krążyć, nie miał swojej broni, jego łuk pozostał złamany na łodzi. Rozejrzał się gorączkowo, chwycił pozostawioną na ziemi jakąś włócznię z kościanym grotem i pobiegł w las. Słyszał nawoływania, trzask łamanych gałęzi. Szukali dzieci. Przez chwilę się zastanowił. Przecież parę dni temu, kiedy wracał z koniem, słyszał niedźwiedzia. Pamięta, gdzie był. Postanowił, że nie będzie szukał dzieci. On poszuka bestii. Jeśli zagubione dzieciaki oddaliły się od obozowiska w kierunku, skąd przybył Jar, to możliwe, że nieświadome podążają w kierunku niedźwiedziej gawry. Te zwierzęta o tej porze roku są nadzwyczaj agresywne, zbierają tłuszcz na miesiące zimowego snu i pożerają dosłownie wszystko, co się porusza. Biegł tedy Jar wąskimi ścieżkami, ale nie w kierunku jagodowych pól, a w stronę wysokiego wzniesienia. Tam było wiele zwalonych drzew, tam widział wiele skalnych szczelin i zapadlin. Może tam zwierz mieszka. Może tam kierują się nieświadome zagrożenia dzieci.

Biegł pod górę. Odgłosy ludzkie ucichły. Słyszał jedynie swój oddech. Biegł ostrożnie, stąpając po miękkim, posyтым igliwem podłożu. Wtem wiewiórka upuściła orzech i w panice schroniła się do dziupli. Nagle zerwały się ptaki. Słyszał łopotanie ich skrzydeł. Zatrzymał się, uspokoił oddech. Rozejrzał dookoła, pobiegł dalej. Na mchu zauważył krople krwi, dalej złamane gałęzie paproci. Znowu się zatrzymał. Byстрым wzrokiem przeszywał okolicę w poszukiwaniu jakiegoś znaku, wskazówki. Wtem między drzewami coś zamigotało.

Skierował się w tamtą stronę. Nagle potężny ryk przeciął powietrze, poderwał wszystko, co żyje na równe nogi. Niedźwiedź był blisko. Za drzewami. Zaraz się wyłonił. Jest! Tak, to on potężny brunatny zwierz, stający na tylnych łapach i rozwierający paszczę. Przy drzewie skuliły się jakieś postacie. Ludzie. To są mali ludzie. To dzieci! Jar bez chwili namysłu, natychmiast ruszył w ich kierunku. Widział sine ze strachu, zapłakane twarzyczki. Jedno z nich, chyba najstarsze wyciągnęło w kierunku zwierzęcia zakrwawioną dłoń, jakby chciało je odepchnąć od pozostałych. Bestia sapała, bujała się na łapach to w przód, to w tył, jakby szy-

kowała się do ataku. Jar nabierał prędkości. Nie zważał już, po czym stąpa, połamał suche gałęzie. Teraz nie widział już nic poza niedźwiedziem. Mocno zacisnął oszczep, jakby się bał go utracić. Jeszcze kilka kroków, jeszcze kilka chwil. Wtem zwierzę ponownie stanął na tylnych łapach, odchylił się do tyłu i jak potężna kłoda zaczął zwałać się na biedactwa. Jar ostatkiem sił wbiegł pomiędzy nich. Jednym zdecydowanym ruchem poderwał oszczep do góry i bez chwili zawahania pchnął nim w kierunku olbrzyma.



Grot wślizgnął się w głąb włochatego cielska, aż ukrył się cały. Zwierzę zawyło i potężną łapą usiłowało sięgnąć niespodziewanego napastnika. Długie i ostre jak brzytwa pazury przeorały policzek myśliwego. Nie ustąpił, teraz nie było już wyjścia. Resztkami sił pchnął oszczepem, w przód, głębiej w owłosione cielsko. Wtedy łapy niedźwiedzia opadły bezwładnie wzdłuż tułowia. Oczy zaszyły mgłą. Śmierć przytula go do siebie – pomyślał myśliwy. Wydając potężny ryk pożegnania, niedźwiedź zwałił się na ziemię.

– To koniec. – Jar upadł na kolana, nie miał ani krzty siły. W płucach jego nie było już tlenu, a ręce i nogi przestały służyć. Padł na plecy obok bestii. Wtedy dopadły go śmiertelnie przestraszone i rozplakane dzieci. Rzuciły się na niego, a on



objął je swoimi zmęczonymi dłońmi i tak trwali przez jakiś czas. Nikt nie wie, jak długo.

Zaalarmowani rykiem przybiegli inni myśliwi. Byli wśród nich ojcowie dzieci. Zabrali pociechy, zabrali Jara. Tyle widział tamtego dnia. Majaczyło mu się jeszcze czerwone, zachodzące słońce. Stracił siły i zasnął.

